Dodatek do Nr. 45 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 45. Sobota, dnia 10-go Listopada 1906. Rok XI.

SKAZANIEC.

OBRAZEK NA TLE PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

—o—

(Dokończenie)

Ksiądz Jan powrócił właśnie ze zwykłego swego obchodu po domach. W oczekiwaniu na powrót chłopca, posłanego do zarządu „wołostnego" po gazety i listy, usiadł sobie przed domkiem swym i zatonął wzrokiem w tym pięknym słonecznym, wiosennym festynie ziemi. O kilkanaście kroków od niego, u stóp stromego wzgórza, szumiał i pienił się potok, skrząc się miryadami ogników w słonecznej poświacie, a księdzu Janowi wydawało się, że to szumi i pieni się rzeka, tam gdzieś, gdzie mieszka jego siostra ukochana, gdzie ją — zda się, że tak niedawno — odwoził na własne jej gospodarstwo rozpromienioną, wesołą i szczęśliwą, a gdzie i on czuł się wtedy również szczęśliwym ze spełnienia ciężkiego zadania opiekuna. Znalazł dla swej pieszczotki zacnego, kochającego człowieka, powierzył skarb swój — siostrę, w jego ręce i nie zawiódł się na nim...

Co oni tam robią? Jak wyglądają ich dziateczki? Siostra mu pisała kiedyś, że jeden, kubek w kubek, wdał się w wujaszka, nazwano go też Jankiem, a ojciec woła nań „Jonas"... Podobny do mnie... może mu Stwórca i los zgotuje podobny?... Niechże mu tylko da Pan i te siły do znoszenia. O, drodzy moi, czy też ujrzę was jeszcze, czy staniecie przedemną żywi, tak jak was widzę w marzeniach.. jak widzę teraz, gdy przymknę oczy?...

I przymknąwszy zmęczone powieki, ujrzał wszystkich swoich.

Z zadumy wyrwał go donośny głos chłopca, wołającego z daleka:

— Ho! ho! ojczulku! nienapróżno dziś chodziłem! Są gazety, jest i list, a gruby... „Zakazny"... musiałem się podpisać w księdze; a napominali mnie, żebym nie zgubił. Ho! ho! nie taki ja niedołęga!

— Daj, dziecię moje, daj list — żywo wyciągając doń rękę, zawołał ksiądz Jan. — Sam idź do izby, przekąś co: musisz być głodny po takiej drodze. Jak zjesz a wypoczniesz, pomyśl o obiedzie. Ja tu sobie jeszcze posiedzę.

Chłopiec oddał list i gazety, ucałował dłoń księdza Jana i, nucąc coś sobie, wbiegł do izby.

Ksiądz Jan drżącemi rękami otworzył kopertę. Była w niej mała tylko ćwiartka z kilkoma wierszami, napisanemi ręką siostry, i duży arkusz papieru, z marką u góry i pieczęcią urzędową u spodu. Księdzu Janowi chore serce poczęło kołatać.

„Bracie mój! Bóg jest wielki! Niewinność twoja wyszła na jaw. Załączam ci poświadczoną kopię zeznania, uczynionego przez istotnego mordercę ś. p. Jadwigi. Natychmiast po otrzymaniu tej wieści wysyłam list niniejszy; dojdzie on cię prędzej, niż zawiadomienie urzędowe. Rehabilitacya twoja jest zupełna. Wracaj do nas! Wracaj!"

Ksiądz Jan przeżegnał się i szepnął:

— Niech Imię Twe będzie błogosławione!

Poczem rozwinął arkusz z zeznaniem, które przebiegł pobieżnie, zatrzymując się tylko na nieznanych lub zapomnianych szczegółach. Brzmiały one tak:

„Proszę o zapisanie, słowo w słowo, mego zeznania w sprawie zamordowania ś. p. Jadwigi Milskiej... Wracałem z więzienia, w którem siedziałem dwa miesiące za udział w kradzieży. Wybrałem się do Niespodzianki, do mego znajomego, pana Żywskiego, z którym miałem nieraz różne geszefta.... Dowiedziałem się, że mu nieźle idzie, i miałem nadzieję, że mi dopomoże... Byłem głodny, nie miałem grosza przy duszy. W karczmie za chustkę z szyi dano mi kielich wódki i kawał chleba... Z lepszą fantazyą poszedłem drogą do Niespodzianki. Ciemno było na dworze zupełnie, gdym tam zaszedł. W domu w jednem oknie tylko paliła się lampa. Z ogrodu dało się słyszeć szczekanie psa. Zbliżyłem się do ganku. Na odgłos mych kroków wyszła z sieni jakaś panienka i zapytała:

— Czy to ty, czcigodny księżę proboszczu?

— Nie ksiądz — odpowiedziałem — podróżny jestem. Mam interes do pana Żywskiego.

— Niema go w domu, wróci aż jutro.

— A pani?

— I pani niema, niema nikogo, sama jestem w domu.

Po co ona mi to powiedziała....

W blasku księżyca widziałem, że młoda i ładna.

— Tem lepiej! — mruknąłem i rzuciłem się ku niej.

Z oczu widać wyczytała mi mój ohydny zamiar, bo cofnęła się, krzycząc:

— Trezor tu! weź cudzego!

Ogromne psisko wyskoczyło z zadomu i rzuciło się ku mnie, wściekle ujadając i wyszczerzając kły. Panienka tymczasem wpadła do sieni, zatrzasnęła drzwi jedne, potem drugie i znalazła się w swoim pokoju. Gdyby miała tę przytomność i zasunęła drzwi z sieni na rygiel, albo tamte zamknęła na klucz, możeby nie było nieszczęścia... Zanadto dowierzała sile psa... Gdy skoczył m ido gardła, wyjąłem z kieszeni duży, składany nóż i wpakowałem mu w gardło pod samą rękojeść. Drgnął raz i drugi i zwalił się z ganku na ziemię. Wtedy pobiegłem do panienki... .

Na odgłos otwieranych przez mnie drzwi ratowała się ucieczką do ogrodu... Dopędziłem ją przy rogu domu... Schwyciłem ją oburącz....

— Będę wołała o pomoc... za chwilę przybędzie tu z miasta mój znajomy i odda cię w ręce policyi!.....

Po co ona mi to mówiła?....

Tylko co wyszedłem z więzienia i miałbym znowu do niego powracać!... Za nic w świecie!....

Pochwyciłem ją znowu, a ona zaczęła gryźć mi ręce i szarpać za włosy, pluć w oczy. Wściekłość mnie zdjęła.... Co siły starczyło ścisnąłem jej gardło prawą ręką.... Wydała krzyk dziki, straszny... Nie zapomnę go nigdy... Bałem się, żeby nie powtórzyła raz jeszcze tego krzyku.... Przydusiłem ją mocniej... Padła w znak... nie było już z nią co robić....

— Teraz — pomyślałem — mogę się grubo obłowić; wszedłem więc z powrotem do pokoju, w którym paliła się lampa, aby zrobić skrupulatną rewizyę. Zaledwiem tu się znalazł, usłyszałem czyjeś kroki. Zgasiłem lampę i uciekłem do ogrodu.

Nazajutrz dowiedziałem się o imieniu i nazwisku mej ofiary... Potem... potem... zdjął mnie okrutny strach, coś chodziło za mną dniem i nocą, szepcząc:

— Coś ty zrobił? coś ty zrobił?

Nie miałem spokoju, dopóki jakiś drugi głos, we mnie samym, nie powiedział:

— Ulży ci, gdy się przed kim poskarżysz.... Ksiądz cię nie zdradzi.... Idź do spowiedzi...

Poszedłem.

Co to za ksiądz! co to za ksiądz! Ten mnie nie zdradzi.....

Pewny tego, śmiało poszedłem do miasta. Chciałem wyrobić sobie paszport i pójść gdzie do obowiązku.

W czepku się rodziłeś — powiedział mi na powitanie urzędnik w powiecie — masz złodziejskie szczęście: krewniak twój, kawaler, nie mający innej rodziny, zostawił mająteczek w Odessie. Dostaniesz paszport, ale z napisem: „pod dozorem policyi!“

Obojętnym był dla mnie ten napis na paszporcie, gdym się przekonał, że urzędnik prawdę mówił. Spadek nie był wymysłem — odebrałem go gotówką.

Złote czasy nastały dla mnie w Odessie. Ożeniłem się, doczekałem się dziatek. Był chleb, nawet bułka. Żona dobra, dzieciaki ładne. Cóż, kiedy w jakiemś dziesiątym roku pobytu, ni stąd ni zowąd, przyplątała się do człowieka jakaś tęsknota. Jedź a jedź do swoich... Spieniężyłem graty i przybyłem w te strony. Tu, dopiero tu, dowiedziałem się o skazaniu za moją zbrodnię księdza proboszcza kalinowieckiego... Skąd mogłem wiedzieć, nie czytając gazet?... a ksiądz, spowiadając mnie, ani jednem słowem nie dał poznać, że jest wmieszany do tej sprawy... Ale teraz, gdym się dowiedział, nie mam już spokoju... I zbrodnia i ksiądz stają mi przed oczyma... Teraz nie mogę, nie chcę ściągać kary Boga na głowy moich dzieci; przychodzę tu sam, wyznając swą winę... Jam winien, jam jeden tylko winien! A tamten niewinnie skazany za mnie, to jakby święty!“

. . . .

Ksiądz Jan, w miarę czytania, czuł, że tętna serca biją mu coraz słabiej, że ogarnia go jakaś niemoc dziwna, lecz słodka...

— Oto dwie najszczęśliwsze chwile mego życia: tamta.... wtedy... tam... gdym milczał... i ta... tutaj... teraz.

— Wracaj!... wracaj!... — zabrzmiały mu w uszach słowa siostry... i śpiewały słodką melodyą... — Wracaj — szczebiotały młode głosy jej dziatwy. — Wracaj — szumiała rzeka.

— Wracam... wracam... — wyszeptał z błogim uśmiechem ksiądz Jan i chciał wciągnąć w płuca powietrze, lecz już nie mógł... Głowa bezwładnie spadła mu na piersi.

Wrócił — po krótkiej, uciążliwej tułaczce — na łono wiekuistej światłości, spokoju i szczęścia. Wrócił — na łono Boga...

Religia innych nauk podstawą być wina.

Cóż może być godniejszego i więcej zgadzającego się z wolą Stwórcy i z wielkością człowieka, jak rozszerzać coraz dalej granice pojęcia umysłu i coraz więcej światła zgromadzać. Im kto lepiej widzi, tem pewniejszym krokiem w drodze prawdy postępować winien; i oświecenie, ten zaszczyt doskonałości rozumu ludzkiego stałoby się niezawodnie źródłem szczęścia, gdyby go na gruntownych wiadomościach zakładano, gdyby pierwszy promień jego, pochodnią religii zapałał. Wtedy dopiero prawdziwie byłoby zbawiennem, prawdziwie użytecznem. Wszystkie nauki służyłyby ku rozkrzewianiu chwały Boga, ba wszystkie zaszczyt czyniąc człowiekowi, wykonywają chwałę wielkości Stwórcy i dzieł jego. Same nawet rękodzieła tenby cel miały; gdyż w nich człowiek naśladując rzeczy stworzone, lub zgadując ich użytek, hołd cudom natury i sprawcy jej oddaje. — Lecz nie wszyscy ludzie okiem prawdy na nauki i na rękodzieła patrzą. — Często Astronom zmierzywszy niebo, nie pomyślał o jego stwórcy! żeglarz objechał morza, a nie uznał ręki, która je w oznaczonych granicach wstrzymuje! filozof prawa ludziom kreślił, nie dostrzegłszy prawdziwego prawodawcy i widoków jego! Rękodzielnik naśladował cuda natury, a w niewdzięczności swojej zaprzeczył prawicę, która te jego wzory złożyła! Mędrzec świecki wszystkie przeczytał księgi, wybladł nad niemi, a nad księgą żywota się nie zastanowił. Przecież, wszystkie nauki prócz nauki wiary i moralności (które we dwie, Religią składają), choćby do najdoskonalszego posunięte stopnia, błahe są i nietrwałe. Najuczeńszy człowiek złożony z ziemi, wróci do ziemi, zarówno z nieoświeconym kmiotkiem; z ciała obudwóch garstka prochu zostanie a jeżeli wieśniak w niewiadomości swojej Boga mocniej kochał, powinności swoje lepiej pełnił, mędrszą dusza jego stanie w oczach Pana! i „zaiste gdy dzień sądu nadejdzie, nie o to pytać się nas będą, cośmy czytali, lecz cośmy czynili".

Z pism Klementyny Tańskiej.

KAWA.

Jednym z najgłówniejszych artykułów spożywczych jest kawa. Zapotrzebowanie światowe kawy wynosiło przed 10 laty 13 milionów centnarów, a w ostatnim roku doszło już do 175 milionów, co świadczy o coraz większym popycie na ten tak ważny artykuł spożywczy.

W handlu rozróżniamy kilka gatunków kawy w zależności od jej pochodzenia. Z Arabii, kraju rodzinnego kawy, zjawia się na targu europejskim, w bardzo małych tylko ilościach, słynna z pięknego aromatu „Mokka". Dla jej drożyzny, bywa jedynie używana przez bogate społeczeństwa, i nawet po większej części naśladowana. Najwięcej używanemi są u nas gatunki przedniejsze centralnej Ameryki jak Gwatemala, Costa Rica i z sąsiednich wysp antylskich, a potem jako mniej wartościowe z południowej Ameryki, n. p. wenezuelskie i tańsze brazylijskie.

Pierwsze kraje produkowały przed 15-tu laty tylko 97 milionów kilogramów, a postąpiły w ostatnich na niemal 200 milionów kilogramów.

Gdy produkcya kawy w krajach środkowej i południowej Ameryki corocznie znacznie się wzmaga i pobyt na ich gatunki coraz się staje większym, to przeciwnie dzieje się w koloniach holenderskich i Indyach wschodnich. I tak produkowały: Jawa, Sumatra, Celebes, Ceylon i sąsiednie kolonie indyjskie przed 15 laty jeszcze 1400 mil. kg., gdy w ostatnich spadły na tylko 600 mil. kg. Afryka wysyła tylko około 165 milionów kg.

Ceylon, który miał jedną z najstarszych kultur kawy, cofnął się w ostatnich latach wskutek chorób liścianych na eksport zupełnie nieznaczny, zamieniając coraz więcej plantacyi kawy na plantacye herbaty. Sławna niegdyś Jawa idzie w ślad za tem.

Na czele produkujących lepsze gatunki kawy stoi Gwatemala. Republika ta jest najbogatszą z pięciu jej sióstr centralnej Ameryki i sięga od Oceanu atlantyckiego do Oceanu Spokojnego. Po stronie ostatniego morza kilka mil od brzegu, ciągną się olbrzymie i wulkaniczne góry Kordylyerów czyli Andów.

Ludność składa się z 1 i pół miliona rasy czerwono-brunatnej indyańskiej i części mieszańców, a kilku tylko set białych, potomków dawniejszych zaborców hiszpańskich i tyluż Europejczyków i cudzoziemców wszystkich niemal narodów.

Zamiast pory zimowej, padają podczas 6 miesięcy i to od maja do października, codziennie prawie rzęsiste, ale krótko trwałe deszcze. Słońce o każdej porze roku wschodzi około godziny wpół do 6-ej, a zachodzi przy krótkim tylko zmroku po 6-ej.

Klimat w nizinach jest bardzo gorący i niezdrowy, sprzyja nader bujnej wegetacyi i licznym dzikim zwierzętom i owadom niebezpiecznym. W wyciętych częściach lasów odwiecznych, gdzie rosną drzewa mahoniowe, cedrowe, hebanowe, kauczukowe i palmy, znajdują się plantacye cukrowej trzciny, ryżu i kakao i pastwiska o trawie 2—3 metrowej.

Po wycięciu lasów dziewiczych, powstały bogate plantacye kawy, uprawiane przez tamtejszą ludność indyańską, które przedstawiają się dla oka, jako malownicze, zawsze prawie zielone parki z drzewek nie wysokich o ciemno zielonem błyszczącem ulistnieniu.

Krzak kawowy kwitnie w grudniu, styczniu i lutym, stosownie do wysokości plantacyi nad pozio-

mem morza, a białe ośmiolistne kwiatki wydają silną, piękną woń. Plantacya cała natenczas wygląda, jakby śniegiem pokryta i przypomina Europejczykom północnym czas gwiazdki w domu; ale już po paru dniach kwicie opada i tworzą się natomiast zielone owoce w postaci wiśni.

Kawa rodzi dobre ziarnka dopiero w wysokości 1,000 stóp nad poziomem morza a jest najcięższą i aromatyczniejszą w okolicach wzniesionych od 4,000 do 5,000 stóp.

Podczas gdy w nizinach sprzęt kawy już w grudniu się odbywa, to w górach dojrzewa ona dopiero w styczniu i lutym. Dlatego też obeznane z tem znaczniejsze domy kawy z zagranicy, nie pokrywają swych głównych potrzeb z pierwszych zjawiających się na rynku transportów, lecz czekają na sprzęt lepszych i później zbieranych gatunków z plantacyi najwyżej położonych. Owoc krzewu kawowego stanowi w stanie dojrzałym czerwone wisienki (cehezas), wiszące naokoło gałązek bez łodyg, które zawierają w sobie podwójne ziarnka, jakby w pergaminowej skorupce.

W czasie dojrzewania kawy, wyprowadza się plantator z rodziną z miasta na wieś, aby być przy sprzęcie i bacznie dopilnować pracy opieszałych nieco z natury robotników indyańskich.

Zrywa się tedy owoc w kosze i składa go do basenu, przez który przepływa woda. Napęczniałe wisienki podlegają 16 do 18 godzinnej fermentacyi, poczem przepuszcza je się w maszynę, która odłącza mięsiste, napęczniałe części od właściwego ziarnka. Tedy suszy je się przez kilka dni na słońcu i kruszy maszyną pergaminową skórkę, poczem się sortuje czyste ziarnka cylindrami.

Gotową kawę w workach wysyłają na mułach lub dwukołowemi wózkami po wąskich drogach gór do stacyi kolejowej, co trwa zwykle 4 a nawet 8 dni, a stąd do portu morskiego, skąd okręty w 2 do 3 miesięcznej podróży przewożą ją do Europy.

Najlepsze gatunki idą do Anglii, Hamburga i Hawru, a pośledniejsze do Nowego Jorku i San Francisko. Największy targ na kawę odbywa się w Hamburgu, skąd większa część Europy zaspakaja swe potrzeby w tym artykule.

PRAKTYCZNE RADY.

— **Dobry środek na chrypkę.** Na ½ litra wody 6 kropli tynktury arniki (którą się w każdej drogeryi lub aptece dostanie) i pić z niej kilka razy po łyżce od kawy. Mianowicie na chrypkę pochodzącą od wytężenia głosu dobrze ten środek działa.

— **Środki na odmrożenie.** Odmrożone członki naciera się lekko cytryną a ból prędko ustaje. Albo rozpuszcza się jeden funt ałunu w czterech kwartach wody gorącej i moczy się chore członki co wieczora przed położeniem się w tym płynie, ale tak gorącym, jak tylko wytrzymać można. Po 8-miu dniach takiej kąpieli nie tylko bóle ustąpią, ale i skóra wraca do dawnej barwy.

Klej stolarski jest także dobrym środkiem leczniczym na odmrożenie rąk lub nóg. Płynnym klejem należy posmarować odmrożone członki i następnie owiązać płócienną szmatą. Należy ją nosić tak długo, póki sama nie zleci. Próbowałem tego środka kilka razy i zawsze dobry był skutek. Świerzb ciała, jaki się daje uczuwać w członkach odmrożonych, gdy się wejdzie do ciepłej izby, ustępuje zaraz po nasmarowaniu klejem.

ZAGADKA.

Łowią rybacy ryby na wodzie,
Jam też rybaczka,
Choć nieuczona w takim zawodzie,
Jeno prostaczka.

Zbyteczny dla mnie sieci zwój cały,
Wędki i sznurki,
Gdyż mi wystarcza mój pyszczek mały,
I me pazurki.

W noc księżycową idę na łowy
Na stawy, rzeczki,
By zawsze miały obiad gotowy
Moje dziateczki.

Tuż ponad wodą mieszkanie mamy
Wielce dogodne,
Bo z niego prosto sobie wpadamy
W jej nurty chłodne.

Wtedy, ku wielkiej waszej zabawie
Spójrzcie z ukradka,
Jak zgrabne skoki czyni po stawie.
Moja gromadka.

Skarżą się ludzie, że szkody spore
Pośród ryb sprawiam;
Ja przecież tylko główki ich biorę
Resztę zostawiam.

Czynię ja ludziom pożytek wielki
Z mego ubrania;
Odemnie również macie pędzelki
Do malowania.

Rozwiązanie z Nr. 22-go.

SOBIESKI.

Dobrze odgadli: Jan Rozmus z Kochłowic, Jan Blaszka z Brynowa, Józef Zegartowski z Sierszy Wodnej, Stanisław Pomorski z Kolbuszowej, Katarzyna Solarz z Liebschwitz, Stanisław Wierzbicki z Wolanki, Przydzielski z Zassowa, Jan Świętek z Połuczyc, Stanisław Kania z Czarnej, Karolina Czechowska z Ropczyc.